TYGODNIK POZNAŃSKI

PISMO NAUKOWO-LITERACKIE.

Nr 18. POZNAŃ dnia 2 Maja. **1862.**

„Tygodnik Poznański“ wychodzi co tydzień w Piątek. Abonament kwartalny wynosi w Poznaniu dla miejscowych 1 talar; dla zamiejscowych w Prusach na poczcie i w księgarniach: 1 i jednę czwartą tal.; w Austryi na poczcie 2 fl. 5 kr. w. a., w księgarniach 2 fl.śrb.; w Królestwie Polskiem i w Rosyi na poczcie i w księgarniach 1 rub. 58 kop śrb.; we Francyi 5 fr.; w Redakcyi 1 i ćwierć talara, albo 2 fl. 50 kr. w. a., za które prenumeratorom numera co tydzień do najbliższéj stacyi pocztowéj franko nadsyłane będą. Redakcya przyjmuje wszelkie listy i nadsyłki frankowane pod adresem podpisanego Redaktora.

ALBUM
z podróży na Wschód.

(Ciąg dalszy).

TERSZT czyli TRYEST.

Miły jest lada kątek, byle spokojny, po długiéj jeździe koleją żelazną. Umysł wychodzi z odurzenia; ciało spokojem ukołysane dziwnie miłego doznaje uczucia; rozstrojone zestrajają się nerwy; powoli przesuwają się raz jeszcze wszystkie widoki; wyobraźnia zbiera obrazki i starannie układa; pamięć zaś co żywo zamyka za niemi podwoje. Niedługo przecież pozwala duch wiecznie łaknący nowéj wiedzy używać tego błogiego stanu dolce far niente, kiedy się prawdziwie o niebieskich marzy migdałach; każe nam co prędzéj oglądać Tryest. Pochwyćmy jego ogólny charakter. — Miasto wielkie, bardzo handlowne i bogate, o szerokich ulicach, z mnóstwem pięknych a nowych budynków, dowodzących prędkiego wzrostu, ludność mieszaniną wszystkich narodów; panujący język i obyczaj włoski; powietrze bardzo zmienne. W jednéj godzinie gorąco duszące, w drugiéj zimno przejmujące; bo gorący Scirocco i zimny Bora często tu wieją na przemiany, a czasem razem umiatają ulice; zasypują oczy tumanami pyłu kamiennego i piaskiem; zrywają z głów kapelusze, z rąk wydzierają parasole, a największego kłopotu nabawiają płeć piękną, która i tu na znak cywilizacyi nosi krynoliny. Gdyby nie wysokie kamienice, hamujące gwałtowność tych wiatrów, mianowicie północnego Bory, niepodobna byłoby utrzymać się na nogach.

Port tryescki wcale niewygodny, bo bardzo niespokojny. Wiatry one silne miotają okrętami na kotwicach stojącemi, a mniejsze statki nie raz rozbijają się jedne o drugie. Piękny wtedy prawda widok z pobrzeża na żywe jak morskie ptastwo statki, lecz niemiłe sprawia wrażenie; niweczy bowiem wyobrażenie o spokoju w porcie, a zarazem wszelkie obrazki poezyi pozbawia prawdy, w których port zawsze jest spoczynkiem, cichy, bezpieczny. —

Przystań ta zasłoniona z jednéj strony wałem kamiennym, dotąd jeszcze przedłużanym, który tworzy piękną na wodzie ulicę zwaną Molo San Carlo. Po obu jéj brzegach wmurowane słupy kamienne i koła żelazne, do których wiążą różne statki wyrzucające lub zabierające towary i ludzi. To też na tym wale zawsze się ludzie roją, a okręta i łodzie stoją pobok szeregami. Z drugiéj strony znowu wał 2,200 st. dł. spoczywa na wodzie, jak wąż olbrzymi skamieniały. O jego wydętą pierś potężną rozbijają się bałwany; głowę zaś jego na wysmukłéj osadzoną szyi piękna z kryształów zdobi korona, bijąca żywym blaskiem w ciemności na całą przystań. To latarnia portowa w końcu wału. — Nad samem pobrzeżem stoją dwa wielkie gmachy: lazaret kwarantanny z osobną przystanią, nowy, w pięknym stylu włoskim, i arsenał z mnóstwem fabryk połączony. —

Wzdłuż całego portu ciągnie się szeroka ulica na morze otwarte, zawsze nadzwyczaj ożywiona ludźmi z całego świata. Poznasz tam Azyatów po malowniczych strojach; Amerykanów po szczególnym wyrazie twarzy trudnym do oznaczenia; Afrykanów po kolorze skóry i t. d. Najżywiéj jednak zajęły mnie twarze słowiańskie, przypominające wieśniaków naszych. Ta sama w nich otwarta prostota i poczciwość, a w oczach jakiś wyraz smutku i rzewności, która serce ujmuje i ku tym ludziom pociąga. Najrozmaitsze języki obijały się o moje uszy; tylko, co dziwna, nie słyszałem niemieckiego. Myślałem, że tylko tu go nie słychać śród tylu cudzoziemców, ale przekonałem się późniéj, że tak w całem mieście. Żywioł niemiecki wszczepiony do stolicy Illiryi jest jak gałązka w pniu dużego drzewa. — Owi Słowianie, których spotykałem coraz więcéj, to Illirowie, Krainscy, Chorwaci i Dalmaci, obsługujący całą marynarkę austryacką, albo rybacy, wyrobnicy i włościanie z okolic.

Widząc wszystkie ogłoszenia publiczne, nazwiska ulic i napisy na sklepach tylko w języku włoskim; obyczaje, teatra, kawiarnie wyłącznie włoskie, a język niemiecki tylko pomiędzy oficerami i urzędnikami słysząc; nie mógłem pojąć wcielenia słowiańsko-włoskiego Tersztu do niemieckiego Bundu. Nawet powietrze i wiatr, co po ulicach wieje, jest albo włoski (Scirocco), albo słowiańskich gór i pól wonią i siłą natchniony (Bora). —

Stowarzyszenie Lloyda, mające tutaj główne swe bióra i ogromne zakłady wszelkiego rodzaju, oraz marynarkę z 85 parowców złożoną — nie ma prócz dewizy vorwaerts (naprzód) nic niemieckiego. Marynarze, od kapitanów aż do chłopców okrętowych, są Słowianie i Włosi, a maszyniści Anglicy. Język urzędowy w całéj administracyi żeglugi jest włoski, tak że w bió-

rach Lloyda nietylko w Tryeście i Wenecyi, ale w całéj Lewancie jedynie za pomocą tłómacza po niemiecku rozmówić się można; dla tego też wszystkie objaśnienia dla podróżnych, ustawy towarzystwa, przepisy na okrętach są wyłącznie po włosku, a czasem i po francuzku i angielsku, tylko nie po niemiecku. Same nazwiska okrętów, wielkiemi błyszczące głoskami złotemi na ich bokach, są włoskie, np. Imperatore, Imperatrice, Adria, Massimiliano itd.

Towarzystwo Lloyda, mające i we Wiedniu ogromne składy, bióra i żeglugę na Dunaju, reprezentuje cały przemysł, handel i inteligencyą austryacką, oraz pocztę morską utrzymuje; jednem słowem, wszystko, prócz narodowości niemieckiéj.

Kamienice na wybrzeżu przystani są częścią na składy i sklepy kupieckie przeznaczone, częścią zaś urządzone na kawiarnie, restauracye i winiarnie, rojące się dzień i noc gośćmi mniéj wykształconemi, zwłaszcza majtkami. Goście ci rozmawiają różnemi językami, a przeważnie włoskim; grają w karty, koście i morra, jedząc przytem mięsiwa w ich oczach się gotujące i smażące na wysokich w rogach izb ogniskach, albo ryby, makarony i jarzyny pływające w oliwie, a zapijając dobre wino krajowe prosecco, cypryjskie czerwone bardzo tanie i rifosco mocne; oprócz tych wódki: marocchino, rosaglio i inne, wreszcie kawę. Okropnie tam duszno i dymno, a krzyk i wrzawa ogłuszająca. Tu można ciekawe robić spostrzeżenia nad różnicą obyczajów i charakterów narodowych. Flegmatyczni a grubiańscy Anglicy, Duńczycy i inni północni mieszkańce jedzą dużo mięsiwa i piją bez miary trunki; gadatliwi a bardzo żywi i popędliwi Włosi jedzą zwykle makarony i jarzyny, a piją mało i to wino lub kawę, a namiętnie grają o pieniądze w kości i morra. Najsympatyczniejsi w tem towarzystwie są Słowianie południowi, pełni życia i siły, a zręczni i dorodni; skromni w jedzeniu, ale pijący dużo wina.

Port przedłuża się przez Canale grande na całą część miasta nowego. Jest tak szeroki, że dwumasztowe okręty przede drzwiami składów stawać mogą, co piękny przedstawia widok szczególnie przy Piazza Dogana, otoczonym samemi magazynami. W końcu kanału wygląda z za lasu masztów i skrzydeł żagli śliczny kościół San Antonio, greckiéj struktury. Duch mimowolnie w dwa przeciwne sobie rozebrany światy; tam w nadziemski, cichy i bez granic, a tu więzi go ludzki, czysto materyalny, pełen życia, ale ściśniony.

Znajdujący się nad kanałem rynek rybny nastręcza sposobność poznania wielu mieszkańców z głębi Adryatyku, po większéj części żywych, jak drobniejsze ryby, różne raki, ślimaki i muszle. Tu krzyku dużo, a najwięcéj dyszkantem, bo najwięcéj kupujących kobiet.

Tryest ma kilka obszernych rynków; między temi odznaczają się: Piazza grande z prześliczną fontanną, napełniony aż do północy wybornemi owocami południa i mnóstwem kwiatów, oraz ludzi; daléj plac giełdowy, kipiący życiem do późnéj nocy. Tam wywołują przekupnie siedzący i koczujący najrozmaitsze rzeczy, zachwalając je najwymowniéj zawsze po włosku. Ulica Corso niezmiernie długa i szeroka, przedzielająca całe miasto nowe od starego, należy także do rynków, jużto że tak obszerna i pełna sklepów, księgarń i wystaw artystycznych, jużto że jest ogniskiem handlu i ruchu. Stami po niéj latają powozy i wózki, przetacza się wszystko od i do portu.

Nowe miasto ciągle się powiększające ma ulice szerokie, proste, poprzecinane wzajem prostokątnie, a wyłożone wielkiemi płytami kamienia. Domy w różnym stylu włoskim z bardzo ozdobnemi czołami, między niemi kilka znamienitszych gmachów publicznych, jak: Teatro grande, kościół grecki i prawdziwy labirynt, zwany Tergesteum. — Jestto pałac olbrzymi, wewnątrz rozdzielony na cztery części przez szeroki w krzyż krużganek, nakryty szkłem. W tym pałacu jest mnóstwo pięknych sklepów kupieckich, składy najdroższych rzeczy zagranicznych kupców, jak: herbata, jedwabie, materye tureckie i perskie, szkła weneckie, porcelany chińskie i japońskie it.d. Tu są zakłady artystyczne, bióra, kawiarnie i czytelnia, oraz giełda Lloyda. Wszystkie pokoje błyszczą od marmurów, luster i złota zawsze zapełnione, najwięcéj kupcami różnych narodów w strojach narodowych. Nic tutaj nie słychać tylko umowy handlowe, rachunki i wywoływanie przybyłych do portu okrętów. Cały ten gmach jest własnością Lloyda. Na co tylko w nim spojrzeć, od wielkich rycin aż do łyżeczek od kawy, szkła i porcelany, wszędzie dostrzedz można L. A. (Lloyd Austriaco) nietylko jako znaczek własności, ale zarazem jako znak, że to w Lloyda rękodzielniach wykonane. — Wpływ tego towarzystwa budził obawę Francyi, bo zagrażał opanowaniem całego handlu w Lewancie. Wojna włoska zadała mu cios śmiertelny. Wziął też był Lloyd na się obowiązek szerzenia kultury i oświaty niemieckiéj, zaczął wydawać niemieckie dzieła i pisma czasowe, ale zdaje się, że z niewielkiem powodzeniem, wśród słowiańsko-włoskich ludów siedząc.

Stare miasto wązkie i krzywe ma uliczki, a tak niegodziwie brukowane i wzgórzyste, że tylko pieszo po nich chodzić można, potrącając o objuczone muły i osły. Spokojnie tu prawda, ale ciemno, brudno, domy czarne, zaniedbane — duszno i przykro; tylko dla archeologa i malarza powabnie. Nad całem sterczy wysoko kościół katedralny San Giusto w piątym założony wieku w stylu bizantyńskim. Chciano go zewnątrz uczynić podobnym weneckiemu San Marco i oszpecono ozdobami bardzo kosztownemi, bo pierwotną architektonikę zupełnie zakryto. Katedra ta stoi na wysokiem wzgórzu skalistem. Wiodą do niéj dwie drogi: jedna kręta, szeroka dla pojazdów; druga wprost po dziwnie łamanych, kamiennych wschodach. Z cmentarza, obwinionego nizkim murem, pyszny i rozległy jest widok na całe miasto, port, morze otwarte i wzgórza półkolem otaczające miasto. Wzgórza te niby amfiteatr we wschody, nasadzone pałacykami letniemi, drzewem i winogrodami, miło rozweselają oczy zielenią, któréj Tryest ma z resztą bardzo mało. Jest podanie, że wieżę katedralną zbudowano na zrębach odwiecznéj świątyni Jowisza.

Tuż przy murze świątyni wskazują grób sławnego Fouché, ministra policyi Napoleona Igo. Wszędzie po świecie pamiątki i ślady po tym nowożytnym Cezarze: u piramid afrykańskich, po wybrzeżach Azyi, a w Europie od granic do granic, często jak oto tu, tylko ciałami ludzkiemi oznaczone.

Na niższym tarasie, w odgrodzonem miejscu, wystawiono pomnik nagrobny sławnemu miłośnikowi starożytności Winkelmanowi. Kiedy wracał z mnóstwem skar-

bów archeologicznych z Włoch i w Tryeście przystanął, kamerdyner jego Arcangeli myśląc, że pan w skrzynkach złoto i drogie kamienie wiezie, zabił go r. 1768. Tu więc pochowany. Nagrobek skromny stoi w niży, ozreźbiony emblematami archeologicznemi; dokoła złomki rzeźb starożytnych, przed niżą pod murem kilka wielkich kamieni z napisami staro-rzymskiemi, przez zabitego przywiezionych. Dla tego zowią to miejsce Muzeo antico. W kościele samym piękna struktura i kilka odwiecznych mozajek, przy których źle wyglądają staro-włoskie freski nowo pomazane.

Najbogatszy i najwspanialszy jest kościół jezuicki S. Maria Maggiore z prześlicznemi freskami Santiego i piękną Madonną Sassoferata. Naprzeciw tego kościoła pokazują bramę starożytną zwaną: Arco di Ricardo, wystawioną dla Ryszarda Lwie-serce, gdy wracając z wyprawy krzyżowéj tu wylądował.

Ludności ma Terszt około 100 000 stałéj, a gości zawsze kilka tysięcy. Najliczniejsi są Włosi, potem Słowianie, reszta mięszanina z Niemców, Żydów i Greków. Życie mieszkańców, ponieważ włoskich obyczajów, najwięcéj publiczne po ulicach, kawiarniach i teatrach. Teatra dają zwykle włoskie opery i dramata, a czasem niemieckie, jeźli są goście aktorowie. Przedstawienia zaczynają się o 9téj, a kończą po północy. Publiczność krwi gorętszéj, jako południowa, bardzo jest hałaśliwa i żywo objawia swoje uczucia i pochwały lub nagany artystom. Jest zwyczajem w całéj Austryi, a więc i w Tryeście, że jednę lub dwie pierwsze ławy partetu zajmują oficerowie za biletami darmo im rozdawanemi w pewnéj zawsze liczbie. Aby im zaś nie przeszkadzali cywilni spokojnie patrzeć, stoją w takich miastach, jak np. Wenecya, Kraków, azatem i Tryest żołnierze z bronią na ramieniu po jednemu przy każdym końcu oficerskich ławek, w odwodzie zaś kilku jeszcze w sieni.

Artyści włoscy, nawet drugiego rzędu, wybornie grają, tylko nie tragedye. Do komedyi i lżejszych innych rodzajów dramatu mają talent wrodzony, przytem z natury żywość i zręczność, a piękną postać; co nie mało ujmuje widzów. Jużto co namiętne, wesołe, szalone, oddają doskonale.

Płeć piękna Tryestu, jaką w teatrach widać, w ogóle nie jest piękna; w jéj ubiorze nie widać żadnego smaku. Kolory jaskrawe i świcidełka przewyższają krój i dobór strojów. Najpiękniejsze są zwykle w niższych klasach i to Słowianki odznaczające się czystością i zgrabnością; Włoszki bowiem nie bardzo dbałe się okazują w ubiorze, a pięknych Ormianek i Greczynek nie tak jest wiele. Tylko wesołość i grzeczność wszystkie w ogóle Tersztanki zdobi, a zbyteczna pożądliwość cacek i zabaw szpeci. Nieznana zaś w naszym klimacie żywość nadaje im pozór nadzwyczajnie lekkomyślnych i próżnych. Zdaje się, że strój i ładna powierzchowność postaci całą ich wartość stanowi; są one jako piękne kwiaty bez woni.

Przed wyjazdem z Tryestu udałem się do komendanta miasta o pozwolenie zwiedzenia bastyonów fortecznych, zkąd najpiękniejsze są na okolice i miasto widoki. Uzyskałem je za okazaniem paszportu niezwłocznie. Kartę pozwolenia wręczyłem oficerowi głównéj straży forteczném, a ten przydał mi za towarzysza podchorążego od artyleryi. Po drodze przez koszary i dziedzińce rozmawialiśmy po niemiecku; wtem gdy stanąwszy na szczycie bastyonu wymówiłem, zachwycony widokiem okolicy, głośno po polsku: pyszny widok! — uśmiechnął się mój przewodnik i rzekł tym samym językiem: to p. Polak? — Wielką mi ta niespodzianka sprawiła radość w pierwszéj chwili, ale wnet ustąpiła przeciwnemu uczuciu. Patrząc na mojego towarzysza Lwowianina w mundurze, wspomniałem:

Po całéj prawie ziemi pod obcemi znaki
Dla swego tylko kraju walczył żołnierz taki —

z maleńkim dodatkiem: niegdyś.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROK JEDEN Z ŻYCIA JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

(Dokończenie).

Autorska jego czynność w jesieni r. 1833.

Zwróćmy teraz uwagę naszą na autorską czynność poety, na tle tych towarzyskich stósunków, któreśmy właśnie poznali. Napełniały fantazyą jego przez ciąg całego tego roku pierwsze pomysły do dzieła, którem, ile wnosić można, był wydany późniéj poemat pod tytułem Kordyan. Już w Marcu (1833) donosił matce, że ranki poświęca pracy nad jakimś nowym utworem. W Lipcu wspomniał o nim w sposób, że wątpić nie można, iż miał na myśli to właśnie dzieło. Za nadejściem jednak lata, przesuwające się przez dom, w którym mieszkał, coraz nowe osoby sprawiały mu tyle roztargnienia, że w tym wirze i zamęcie niepodobno mu było przedłużać pracy. Rzucił tedy pióro z ręki, z uśmiechem nieco szyderczym zwrócił oczy badawcze na oryginalne te typy, z którymi pod jednym dachem się mieścił — i doznając już to przyjemności w towarzystwie z tylu różnych żywiołów złożonem, już moralnego znużenia, bawił się — nudził — marzył — wygrywał na fortepianie — czytał bardzo wiele; ale nie pisał nic. W ogóle nie czuł w sobie żadnego do poważniejszéj pracy przez całe te miesiące popędu.

„Napada mię czasami chęć czynniejszego życia," — takiemi słowy opisywał usposobienie swoje w listach z Czerwca i Lipca — „marzę o różnych projektach; ale wszystko to napróżno.... Siedzę cicho i spokojnie nad brzegami jeziora — i myślę o Was. Czasem jestem tak odrętwiały, że potrzebowałbym, aby mię pszczoły Twojéj, Mamo, pasieki pokąsały — smutno, smutno!"

Z nadchodzącą jesienią — i cisza w domu, z powodu po trosze rozjeżdżających się gości, i wrodzona właściwość, o któréj już wspomniałem przy innéj sposobności, właściwość mówię Juliusza, że o téj porze właśnie zazwyczaj nawiedzała go jakaś konieczność poetyckiego tworzenia — wszystko to zaczęło składać się na to, że owe pierwsze zarysy dzieła, jeszcze na wiosnę rzucone, nabierały w jego wyobraźni coraz więcéj ciała i kształtów.

„Téj zimy zamyślam pisać i pisać — mówił o sobie w liście z d. 22 Września — jestem jak góra w połogu. Prawdziwie nie wiem, jaka jest organizacya we mnie, że się tak o pewnych epokach ożywia myślami — przepełnia — wylewa — i znów jestem jak Turek (przez pół roku), po wytrzeźwieniu się z opium, zupełnie zimny i prozaiczny."

W Październiku nareszcie: „Anglicy i Angielki i wszystkie inne narody, które przez lato dom nasz napełniały — z przyjściem jesieni uniosły się jak jaskółki na południe.“ W towarzystwie samych tylko gospodyń domu „możebym się nudził szalenie, gdyby nie kraina marzeń i urojeń, która silniéj, niż kiedykolwiek oddzieliła mię od świata. Piszę wielkie dzieło — napisałem już 1,300 wierszy; ale to jest jeszcze niczem w porównaniu do całéj budowy.“ ... (z listu z d. 27go Października 1833).

W końcu Listopada mógł już donieść:

„Cały ten miesiąc pracowałem nad nowym poematem i w dni 20 napisałem 2,200 wierszy. Czuję jakąś pociechę, myśląc, że moja młodość nie jest zupełnie straconą dla dobra Ojczyzny mojéj. Przynajmniéj tak sobie powiadam i słodzę tem wszystko.... Książki Kochanowskich odebrałem z taką radością, jak gdybym witał przyjaciół. Będę je zawsze chował, bo notatki Ojca i Twoje kilka wyrazów, Mamo, uświęciły je dla mnie. Czytam ciągle teraz oba dzieła na przemiany i znajduję, że Treny są niezrównanéj piękności. Uwagi Ojca mego po większéj części znajduję słuszne; w niektórych tylko miejscach widzę, że go gust ówczasowy klasyczny, a raczéj francuzki, trochę obłąkał. — W teraźniejszéj poezyi Brodziński się najwięcéj do Kochanowskiego zbliża — ale jest od niego niższy o trzy wieki. Oprócz tych dzieł nic więcéj teraz nie czytam, bo po całych dniach przepisuję na gwałt mój nowy poemat, który nazywa się Kordyan. Dziwne to imię sam dla mego idealnego człowieka znalazłem...“ (z listu z dnia 30 Listopada 1833).

Z saméj skwapliwości przepisywania widać, że zależało autorowi na jak najrychlejszem w świat wyprawieniu téj książki. Temu życzeniu stawały znowu na drodze trudności z powodu braku funduszów nakładowych. Za poprzednio wydane tomy koszta zwracały się zwolna, bardzo późno, i jak to mówią, tylko kapaniną, a pewnéj części takowych nawet pozbawiała go nierzetelność osób rozprzedających, albo księgarzy, na których też często wyrzeka. „Ci, którzy je wyprzedają, tacy są hołysze, że mi przychody moje kręcą — i długo zatajają. Słowem przekonywam się, że księgarze — jest to najgorsza klasa. Wszyscy do Zawadzkiego podobni...“ (list z d. 23 Sierpnia 1833).

Dało się jakoś jednak wszystko załatwić. W miesiącu Styczniu czy Lutym następnego roku pojawił się poemat, bez żadnéj przedmowy i bez wyrażenia imienia autora, pod tyt.: Kordyan, Część pierwsza Trylogii — Spisek koronacyjny. Paryż. 1834. 12° str. 159.

Autor dziełem tem zamierzał rzucić rękawicę niejako i pójść w zapasy ze sławą poetycką Mickiewicza, i dla tego wydał je bezimiennie. „Będzie tak równiejsza walka z Adamem,“ wyrzekł przy wiadoméj nam już sposobności do matki. Stawiał Kordyana wyżéj nad wszystkie swoje aż dotąd ogłoszone utwory. Obiecywał mu wielkie powodzenie: „Wyjście na świat tego poematu będzie dla mnie bardzo ważną epoką,“ — pisał mając przed sobą pierwsze arkusze druku do korekty sobie przysłane (d. 3go Stycznia 1834). I miał przekonanie, że „osądził to dzieło swoje po napisaniu obcego człowieka rozwagą.“

Nim się daléj zapuścim w rozpowiadanie o kolejach życia poety, zatrzymajmy się na tem miejscu i pomówmy nieco o téj jego świeżo wydanéj publikacyi i o utworach, które zapełniają tom III. Przedsięwzięliśmy sobie bowiem iść w ślady nietylko za ruchem zdarzeń zewnętrznego jego zawodu, ale i dopatrywać rozwoju wewnętrznéj w nim siły, którego miarą były dzieła jego z kolei wydawane.

A. Małecki.

Program i popis szkoły realnéj i prywatnego progimnazyum Dra MIERZYŃSKIEGO, na Wielkanoc r. 1862.

Programy i popisy publiczne szkół tak czystemi stały się formalnosciami, iż dziś nikt prawie nie zwraca na nie uwagi. Zaledwie decydujemy się zajrzeć do programu i na popis téj szkoły, do któréj nasze dzieci uczęszczają, albo których bezpośredniemi jesteśmy przełożonemi. Czyjaż w tem wina? — Czy instytucyi, czy nauczycieli, czy też publiczności? Pewnie żadna z wymienionych stron nie jest bez winy. Szkoły nie rozwijają, nie doskonalą się ciągle. Prace nauczycieli w programach i zakładach naukowych nie zawsze stósują się do postępu i potrzeb ogółu, publiczność zaś swoją obojętnością dla szkół i trudów nauczycielskich nie koniecznie dodaje im zachęty w mozolnéj ich pracy.

Przyzwyczajeni już niejako do takiéj obojętności ze strony publiczności, tem milszego doznaliśmy wrażenia, widząc, jak licznie zebrała się takowa na publiczny examen tak szkoły realnéj, jako też progimnazyum Dra Mierzyńskiego. Popis publiczny szkoły realnéj zaczął się w Niedzielę 6 Kwietnia wystawą rysunków po ścianach szklnéj sali porozwieszanych. Na żadnéj jeszcze wystawie i na żadnym popisie nie widzieliśmy takiego natłoku publiczności, począwszy od 11téj godziny z rana aż do 5téj po południu. Ale w żadnéj też szkole nie mieliśmy sposobności widzieć tyle tak pięknych rysunków i malowideł, jak w tutejszéj szkole realnéj. — Przypatrując im się, doznajemy wrażenia, jakbyśmy się znajdowali w szkole malarskiéj. Widać z tego, jakie rezultaty osiągnąć może nauczyciel zdolny i z zamiłowaniem swemu przedmiotowi się oddający, jakim jest bezwątpienia znany zaszczytnie artysta Jaroczyński. — Niemniéj pochwały godne są zeszyty uczni pod względem porządku, czystości i kaligrafii. W dalszym ciągu popisu wykonał pan Greulich razem z uczniami klasyczne kompozycye pierwszych w muzyce mistrzów z największą dla słuchaczy przyjemnością.

Popis z turniei, któremi kieruje p. Więżewski, połączony zwykle z dramatycznemi przedstawieniami uczni, bywa dla naszego miasta prawdziwą rozrywką i uroczystością. — Przekonywamy się z tego, że przedmioty techniczne, odgrywające w innych instytutach zupełnie podrzędną rolę, wzbudzają tutaj najżywszy interes.

Oprócz tego uczniowie szkoły realnéj konwersują, piszą wypracowania, deklamują i miewają mowy w 4ch językach: polskim, niemieckim, francuzkim i angielskim, a każdemu z nich poświęca szkoła realna więcéj lekcyi, niż gimnazya. Pomimo tego nauka języka łacińskiego nie mniejsze osięga rezultaty, jak w tych o-

statnich; daleko zaś większe w matematyce, w historyi, a mianowicie w fizyce, chemii, historyi naturalnéj i geografii, z których dwa ostatnie przedmioty nietylko w niższych, ale i w średnich i w wyższych klassach się wykładają. Z przedmiotów gimnazyalnych nie udzielają tu tylko języka greckiego i hebrajskiego, od uczenia których zresztą i w gimnazyum uwolnić się można.

Niepodobna nam tu opisywać różnic, jakie zachodzą w traktowaniu jednych i tych samych przedmiotów w gimnazyum i szkole realnéj, to tylko nadmieniemy, że podczas kiedy geografia przez K. Rittera i A. Humboldta do godności nauk samodzielnych wyniesiona, w szkole realnéj ważną odgrywa rolę, to w gimnazyum traktują ją dotychczas jako naukę pomocniczą historyi, a historyą jako naukę pomocniczą filologii, bo wykładają głównie tylko historyą starożytną, podczas kiedy w szkole realnéj wszystkie epoki historyi powszechnéj z równą traktowane są troskliwością. Zresztą o zaletach instytucyi szkół realnych znajdą czytelnicy nader gruntowną i światłą rozprawę w przeszłorocznym programie tutejszéj szkoły realnéj, za którą autorowi, p. prof. Gruszczyńskiemu, rząd z własnego popędu znaczną podobno dał gratyfikacyą. Korzyści jednakże i świetne rezultaty, jakie tutejsza szkoła realna osiąga, zawdzięczamy nietylko saméj instytucyi i jéj planowi, ale mianowicie też nauczycielom przy niéj fungującym, pomiędzy któremi, z chlubą to powiedzieć możemy, Polacy pod względem zdolności, wiadomości i gorliwości niepośledni zajmują stanowisko. Dwom z nich, tj. prof. Mottemu i Szafarkiewiczowi, ofiarowano, lubo bezskutecznie, katedry uniwersyteckie. To też magistrat miasta Poznania, uznając zasługi nauczycieli dla téj instytucyi położone, wydał po przeszłorocznym popisie następujące oświadczenie na ręce Dra Brenneckego, dyrektora tutejszéj szkoły realnéj:

„Tegoroczny publiczny examen uczni miejskiéj szkoły realnéj tak pod każdym względem nas zadowolnił, że chętnie korzystamy ze sposobności, ażeby Dyrektorowi i wszystkim Profesorom wymienionego zakładu — nie wyłączając Nauczycieli śpiewów i rysunku — wynurzyć uznanie ich gorliwości, jako też pomyślnego rezultatu ich działalności. Zadowalniające pod każdym względem rezultaty przekonały nas, że udało się staranności Nauczycieli pokonać obecnie stanowczo trudności, wynikające mianowicie z téj okoliczności, że uczniowie klas niższych nie równo przysposobieni do klas wyższych wstępowali. Nie wątpiemy przeto, że nasza szkoła realna będzie odtąd celowała pomiędzy zakładami tego rodzaju."

Nic więc dziwnego, że publiczność wielki okazuje interes dla zakładu tak pożytecznego, i równie, jak na wystawę rysunków, tak i na popis publiczny, dwa dni trwający, tłumnie się schodzi. To też coraz więcéj legatów odbiera ten instytut na premia, które wielką wzbudzają pomiędzy uczniami emulacyą w pilności. — A jeden z zamożnych obywateli Poznania, pan Berger, porwany widokiem pomyślnych rezultatów tutejszéj szkoły i przekonany, że one są wynikiem humanitarnéj zasady czynienia zadość wszelkim wymagalnościom tak narodowości, jako i religii, kształcąc uczni polskich w osobnych oddziałach w polskim języku przez wszystkie klasy za pomocą polskich nauczycieli, a niemieckich uczni w klasach niemieckich przez nauczycieli niemieckiéj narodowości, i utrzymując nauczycieli religii dla uczni wszystkich trzech wyznań w tutejszem mieście representowanych — postanowił i zobowiązał się, dźwignąć swoim własnym kosztem wspaniały gmach dla tutejszéj szkoły realnéj pod warunkiem, ażeby w tym instytucie, jego imię przybierającym, najzupełniejsze równo-uprawnienie, tak religii, jak i narodowości, na wieczne czasy najskrupulatniéj zachowanem zostało. Ta szlachetna, mądra i płodna w najzbawienniejsze następstwa zasada fundatorów pomienionego zakładu niezostała dotąd jeszcze przez wszystkich należycie pojętą i uznaną.

Jednym się zdaje, że wzmiankowane równo-uprawnienie zbyt daleko jest posunięte i starają się uszczuplać takowe, twierdząc, że jest zbytecznem, ażeby się uczniowie niemieccy tyle uczyli po polsku, co polscy po niemiecku, ażeby tyle było nauczycieli polskich przy zakładzie, co niemieckich; dają do zrozumienia, że dosyć jest dobrodziejstwa, jeżeli się w rownéj liczbie tylko uczni, a nie nauczycieli obu tutejszych narodowości do zakładu w mowie będącego przyjmuje, że tylko religia uczni i nauczycieli jest uwzględnienia godną i że liczba nauczycieli każdego wyznania winna się stósować do liczby uczni, że kiedy jest np. w szkole 200 uczni ewangelickich, 100 katolickich, a 150 żydowskich, iż w takim razie powinno być przy szkole 20 nauczycieli ewangelicznych, 10 katolickich i 15 oczywiście żydowskich — a więc, jeżeli się ten stósunek uczni w czasie roku zmienił, to powinien się naturalnie natychmiast i stósunek nauczycieli zmienić. Niebaczni — nie wiedzą, co czynią; nie wiedzą, że gdyby się ich życzeniom stało zadość, skończyłaby się świetność instytutu, polegająca właśnie na emulacyi rozmaitych żywiołów w nim reprezentowanych. Nie wiedzą, że tylko w zgodzie, za pomocą i pośrednictwem tych żywiołów, które przytłumić pragną, mogą poznać i wyzyskiwać tak upragnione przez siebie skarby Wschodu; że uznając tylko i popierając prawa tych żywiołów, otworzyćby sobie mogli bramy i śluzy do Eldorado, z któregoby spłynęły rzeki mlekiem i miodem na okolice tutejsze. Swobodna, łatwa i szybka komunikacya z Polską, Rusią, Moskwą, Persyą, Indyami, Chinami i Japonią, zaludniłaby i zbogaciła tę i wszystkie inne prowincye i miasta nadbaltyckie w przeciągu lat kilkunastu o dziesięćkroć — szybciéj, niż się dziś zaludniają i bogacą miasta i prowincye angielskie i amerykańskie. — Najzupełniejsze zaś przytłumienie miejscowego żywołu, lubo w nowszych czasach niepodobne do uskutecznienia, — czego dowodem Luzacya, Szlązk górny i Wschodnie Prusy, nie przyspieszyło, ale może na zawsze niemożebnem uczyniłoby osiągnięcie tych rezultatów.

Tak źle więc pojmuje jedna strona myśl i dążności założycieli w mowie będącego instytutu. Jeszcze mniéj druga strona poznała się na wartości tutejszéj szkoły realnéj. Zniechęcając się niechęcią ku sobie tamtéj strony, niekorzysta w należyty sposób z tak doskonałego i korzystnego zakładu. Jest to bardzo niesłusznie. Bo lubo naczelnik zakładu i większa część nauczycieli jest wyznania protestanckiego i narodowości niemieckiéj, to jednak uczniowie polscy i katoliccy mają prawie wyłącznie tylko z nauczycielami polskiemi wyznania katolickiego do czynienia. Zresztą każdy nauczyciel ma do jednych uczni większą sympatyą, jak do drugich — to jest każdemu człowiekowi wrodzone, byle tylko dla wszystkich równie był sprawiedliwy — a nad tem czuwa całe grono nauczycieli.

Niema więc najmniejszéj przyczyny do obawy, ażeby uczniowie pod względem religii albo narodowości, jakikolwiek szwank ponieśli. Owszem przeciwnie. Nigdzie w Prusiech niema więcéj sposobności wychowania młodzieży naszéj bardziéj po narodowemu, niż w tutejszéj szkole realnéj. Jesteśmy zbyt pochopni zwalać winę z siebie na innych. Przyznajmy i poprawmy się. Kiedyśmy w Poznaniu mieli tylko gimnazyum katolickie i ewangelickie, upominaliśmy się ciągle o szkołę realną. Równoległe klassy realne obok gimnazyalnych przy instytucie Maryi Magdaleny urządzone, nie wystarczały nam. Żaliliśmy się ciągle i żalimy, że zbyt mało jest gimnazyi katolickich i że w nich wyłącznie po polsku nie wykładają. Wołamy od lat przynajmniéj kilkunastu wszyscy, iż wszelkiemi siłami chwytać nam się trzeba przemysłu, i robiemy najrozmaitsze projekta, ażeby go pomiędzy nami wywołać. I otóż od lat dziesięciu istnieje w Poznaniu wzorowa szkoła realna, przy któréj obok niemieckich urządzono i polskie klassy, w których znani ze swéj zdatności, nauki i gorliwości profesorowie wszystkie prawie przedmioty po polsku wykładają. Pomiędzy 27 nauczycielami (wraz z dyrektorem, kandydatami, nauczycielami technicznemi i religii) jest 11 Polaków, katolikow, a nadto dwóch mówiących i trzech rozumiejących po polsku, a pomiędzy 12 ordynariuszami, 6 Polaków. Z pomiędzy zaś 440 uczni uczęszczających roku zeszłego do szkoły realnéj było (według tegorocznego programu) 207 protestanckich, 141 żydowskich a 92 tylko katolickich, z protestantami i żydami było więc około 100 uczni polskich w szkole realnéj, a więc stosunkowo daleko mniéj, niż Niemców i Żydów. Katolickie gimnazyum Maryi Magdaleny zwiedzane przez samych prawie tylko polskich uczni, jest przepełnione, a protestanckie gimnazyum Fryderyka Wilhelma wyłącznie nieomal przez niemieckich uczni zajęte, bynajmniéj nie jest licznie zwiedzane. Z tego się pokazuje, że lubo Niemcy daleko szersze mają widoki do karier rządowych, niż Polacy, to jednak wolą swe dzieci raczéj do prywatnych, niż do publicznych kierować zawodów: Widać, że doświadczyli, iż korzystniéj jest poświęcać się przemysłowi, niż na pozór świetnéj, a w gruncie nieszczęśliwéj karierze urzędniczéj. Za pomocą téż tego przemysłu zapełniają oni powoli najpierw miasta a potem i wsie przyległych sobie prowincyi polskich i zaludnili całkiem najbogatsze i najważniejsze części dawnéj Polski i zgermanizowali nawet w pewnym czasie prawie wszystkie miasta polskie. Odciąwszy główne członki i arterye od ciała narodowego, naturalną jest rzeczą, że je uśpieli i rozłożyli. Jak roślina pasożytna, rozmógłszy się na drzewie narodowem, zagarnęła wszystkie jego żywotne soki i umorzyła sam szczep wreszcie.

Jeżeli więc mamy siły żywotne i jeżeli w nie wierzemy, to jak na uszkodzonéj nawie, powinniśmy tam wszyscy pomagać i pracować, gdzie największe grozi niebezpieczeństwo, powinniśmy wlewać soki żywotne w arterye, ożywiać obumarłe ciała narodowego członki. Nasz kraj jest niby forteca obcemi żywiołami od komunikacyi z resztą świata odcięta, a oblegający robią już w najważniejszych pozycyach wyłomy. Więc do pracy co jest wewnątrz, czy to pan czy sługa, czy książę, czy nędzarz, czy młody czy stary, do pracy i to w miejscu głównie zagrożonem — a więc do przemysłu! Ale czyż jest podobieństwo ratunku, jeżeli właśnie w tę stronę wszystkie nasze skierujem zabiegi. Otóż ażeby krótką i stanowczą dać na to pytanie odpowiedź, twierdzimy i przy każdéj sposobności w tem i w innych pismach wykazywać będziemy, iż byleśmy wszystkie nasze produkta bezpośrednio naszym konsumentom odstawiali i gdybyśmy z płodów naszéj ziemi sami wyrabiali to, co obcy z nich robią i po największéj części nam znów odprzedają — to w przeciągu lat kilkudziesięciu nasza ludność się podwoi i tak aż do Elby będzie zalegała miasta niemieckie w prowincyach nadbaltyckich, jak dotąd Niemcy zapełniali miasta polskie, gdyż jak wiadomo zamożność najbardziéj się przyczynia do wzrostu ludności. A już teraz z wszystkich kraji europejskich najbardziéj wzmaga się ludność w krajach niegdyś polskich, bo według obrachunku dra Block (le Temps z 14 i 21 Stycznia 1862) wzrastała ludność na 100,000 osób rocznie:

w Prusiech (mianowicie we wschodnich prowincyach) pomiędzy r. .	1822 -- 1858	o 1440 osób.
w Rossyi (głównie w prow. zachod. i połud.).	1822—1858	„ 1410 —
w W. Brytani i Irlandyi.	1821—1861	„ 1125 —
w Austryi . . .	1818 - 1857	„ 692 —
we Francyi. . .	1826 - 1861	„ 340 —

A więc już teraz wzrasta ludność w krajach niegdyś polskich prawie dwa razy tak szybko, jak we Francyi, a trzy razy szybciéj, niż w Austryi. W prowincyach dawnéj Polski jest ledwie 2000 mieszkańców na jednéj kwadratowéj mili, bo tylko 26 milionów na 14,000 kw. mil; w Austryi tymczasem jest 3,300 miesz. na 1 kw. m. w Prusach 3400, we Francyi 3,670, we Włoszech 4,600, w Anglii 5,000, w Król. Saskiem 7,500, w Belgii 8,500.

A dawna Polska jest obfitsza od Anglli, Belgii i Saxonii we wszelkie produkta, a mianowicie w zboże. W prowincyach ruskich np. wydaje jeden korzec wysiewu bez najmniejszéj amelioracyi ziemi 30 korcy, a więc trzy razy tyle, co w najżyzniejszéj okolicy zachodniéj Europy, przy najlepszéj uprawie. W południowéj połowie Polski moglibyśmy przeto 3 razy tyle wyżywić ludności na 1 kw. mili, co w Anglii, Saxonii lub Belgii. Lecz gdyby ona tylko tak stała się gęstą jak w Anglii, jużbyśmy liczyli 70 milionów, gdyby wzrosła do téj liczby, co w Saxonii, liczylibyśmy 105 a gdyby stała się tak gęstą, jak w Belgii, wyniosłaby 120 milionów mieszk. Jak niegdyś w czasach starożytnych po zdobyciu przez Rzymian Sycylii i należytéj jéj uprawie, upadło całkiem rólnictwo na stałym lądzie Włoch, niemogąc utrzymać konkurencyi, podobnież i teraz przy należytem urządzeniu komunikacyi z Rusi i Stepów do morza i na Zachód, zachodnia Europa ani myśleć mogłaby o konkurencyi z nami w rólnictwie i chowie bydła, gdyż my możemy zboże, mięso, tłuszcz, skóry, wełnę etc. z korzyścią trzy razy taniéj sprzedawać, niż inne kraje europejskie.

Otóż są niektóre z rezultatów, które w każdem położeniu osiągnąć jesteśmy w stanie za pomocą przemysłu, do którego nas tylko szkoły realne i techniczne przysposobić mogą. Zaiste cel ten godzien jest, ażeby mu się wszystkie stany naszego społeczeństwa z największym poświęciły zapałem. Czyż mogą z nim iść w porównanie pod względem świetności i ważności tak zwane kariery, które u nas za pomocą wykształcenia gimnazyalnego zrobić można. U nas, podobnie, jak w

Anglii, za punkt honoru i obowiązek narodowy każdy sobie uważać powinien, ażeby, jeżeli nie wszyscy, to przynajmniéj większa część synów każdéj rodziny, przeszedłszy, ile możności szkoły realne i techniczne, poświęcała się rzemiosłom, fabrykom i handlowi. W ten albowiem tylko sposób zdołamy wyzyskać skarby przez Opatrzność nam powierzone a dotąd po większéj części martwo w ziemi spoczywające. Słusznie jeden z naszych pierwszych przemysłowców wyrzekł publicznie, że dopóki zamożniejsze nasze rodziny szlacheckie, wszelkich zrzekłszy się uprzedzeń, tego realnego nie chwycą się kierunku, wszelkie nasze usiłowania o podniesienie przemysłu będą daremne, a proces rozkładowy naszego żywiołu, przy najpomyślniejszych stosunkach zewnętrznych będzie się odbywał bez przerwy, jak dotąd przez tyle wieków, a dopełniwszy się w W. X. Poznańskiem, w ten sam sposób będzie się odbywał w Galicyi, Kongresówce itd. i zakończy się podobnie jak w Szląsku, Pomorzu i Prusach. Dotąd nietylko że szlachta nie garnie się u nas do handlu i rzemiosł, ale jeżeli przypadkowo jaka rodzina szlachecka w mieście osiądzie, w niem przez dłuższy czas zamieszka i jeden z jéj członków jaki urząd obejmie, albo w jakiem przedsiewzięciu przemysłowem udział weźmie — to przestaje już być uważany za równego ze szlachtą na wsi. Nietylko więc ludzie z wykształceniem i majątkiem nie chwytają się handlu i rzemiosł, ale nawet mieszczanie zbogaciwszy się nieco, opuszczają przemysł i okupują się na wsi, ażeby przez to odpowiednią swemu majątkowi pozyskać pozycyą towarzyską. Tym sposobem przemysł, pozbawiony kapitałow, intelligencyi i poważania, nigdy u nas wznieść się nie może. Wstręt do realiow tak daleko u nas jest posunięty, że lubo trzy niższe klassy gimnazyalne i szkoły realnéj zupełnie sobie odpowiadają, tak że uczniowie mogą każdéj chwili z jednego zakładu przechodzić do klasy odpowiedniéj drugiego zakładu, — a do wzmiankowanych klas gimnazyalnych z powodu przepełnienia instytutu wielu bardzo uczni nie przyjmowano i rodzice byli w największym kłopocie, co ze swemi dziećmi zrobić, — to ostatecznie woleli je do gimnazyów w innych miastach a nawet prowincyach i krajach oddać, niż do pustych klass tutejszéj szkoły realnéj, jedynéj może, która czyni zadość wszystkim naszym potrzebom i wymagalnościom.

Obok tego skarżymy się ciągle na brak szkół i rozmaitych zakładów naukowych, jakiemi są gimnazya, szkoły techniczne, agronomiczne, uniwersytety itd. Istniejące w Księstwie i w Prusach zachodnich prywatne progimnazya jak np. progimnazyum Schwarzbacha w Ostrowie pod Wieleniem, progimnazyum X. Gawreckiego w Rogoźnie, X. Hunta w Kurzętniku nad Drwęcą w Prusach Zachodnich, progimnazyum dra Mierzyńskiego w Poznaniu itd. są oczywistym dowodem tego niedostatku. Lecz niepowinniśmy poprzestać na żalach i skargach, ale wziąść się rączo do zaradzenia złemu i zakładać własnemi siłami instytucye nam niezbędne, jak to czynią w Anglii, z tego powodu, ażebyśmy je mogli urządzić wedle własnych potrzeb i woli. Kroaci zakładają uniwersytet, Czesi teatr narodowy ze składek, dr. Schwarzbach dźwignął na wsi ogromne i pyszne gmachy szkólne i utrzymuje cały zakład własnemi funduszami, to samo X. Hunt w Kurzętniku, który bez pomocy obywateli a nawet bez zapasu funduszy jedynie z rocznych dochodow lichego probostwa, potrafił swą zabiegliwością w przeciągu lat kilku wznieść szkołę o siedmiu klasach i wybudować odpowiedni dla niéj gmach.

Podobny do niéj zakład naukowy, czyli progimnazyum z Tercyą włącznie, urządził na Ś. Michał zeszłego roku Dr. Mierzyński, nauczyciel pomocniczy przy katolickiem gimnazyum Maryi Magd. Szkoła ta wprawdzie nie ma dotychczas osobnego gmachu, tylko mieści się w domu prywatnym; lecz jeżeli zarządzca jéj i pomagający mu profesorowie z równą, jak dotąd, gorliwością tym instytutem zajmować się będę, a z drugiéj strony publiczność z niego w należyty sposób korzystać potrafi, nie ulega wątpliwości, iż możemy z niego niemniejszych doznać korzyści, jak z drugiego katolickiego gimnazyum w Poznaniu.

Na Wielkanoc r. b. dn. 8go Kwietnia po południu odbył się pierwszy popis w tym zakładzie. Examinowano uczni z religii, z łacińskiego i niemieckiego języka. Poczem uczniowie deklamowali w polskim i niemieckim języku. Tak deklamacya, jako i pewne i dokładne odpowiedzi uczni na zadawane sobie pytania mocno zadowolniły zebraną publiczność, która reprezentowała wszystkie stany, tak duchowne, jako i świeckie, od najwyższych sfer począwszy. Nowy ten zakład zajął od razu niepoślednie stanowisko między podobnemi zakładami, i jak nas wieści dochodzą, licznie się doń zgłaszają. Udzielają w nim lekcye głównie profesorowie gimnazyum poznańskiego.

Mamy więc instytucye lub ich zawiązki, które niezmierne korzyści przynieść nam mogą, a przy niezłomnéj woli i skrzętnéj staranności możemy w przeciągu lat kilku potworzyć sobie z własnych funduszy niedostające nam zakłady, jak np. szkołę agronomiczną, techniczną, handlową, a nawet uniwersytet, przy pomocy których oświata, handel, fabryki, rzemiosła, jako też i zamożność w krótkim czasie zakwitnąć i postać rzeczy w sposób wyżéj wzmiankowany całkiem zmienić mogą. Wszystko to od nas samych i od mądrego naszego postępowania zawisło. Pozbądźmy się tylko dla dobra ogółu i naszego własnego wszelkich uprzedzeń; weźmy się szczerze do nauki, rzemiosł, handlu i przemysłu w ogóle, a niezadługo zajmie kraj nasz stanowisko, jakiego żaden dotąd jeszcze nie zajmował. Uwierzmyż raz przecie w zasadę bezmyślnie ciągle przez nas powtarzaną i zastósujemy się do niéj, uwierzmy, że losy nasze pod każdym względem w własnych trzymamy rękach.

Rozmaite wiadomości.

Warszawa 12go Kwietnia 1862.

Szanowny Panie!

Radbym z serca odpowiedzieć Panu na Jego łaskawe do Tygodnika wezwanie natychmiastowem współpracownictwem w nim, ale Gazeta tak mnie pochłania, że przy najlepszych chęciach obiecywać nie śmiem. Byłem niegdyś współpracownikiem Orędownika i Tygodnika lit. i przypominam sobie te czasy młodsze z żywą przyjemnością. Gdyby, nie zobowięzując się wcale, czasem wam list jaki mógł posłużyć, chętnie takiéj korespondencyi literackiéj od czasu do czasu podejmę się, o ile jéj podołać mogę. Z pogorszonym stanem

zdrowia wszystko się stało trudniejsze; nie pracuje się, jak dawniéj. Przytem sprawy nasze literackie tak stoją, że o nich i pisać trudno. Umysły odciągnęły inne wrażenia i zaprzątnienia, których ani skutku ani końca nie widać; a to tak dalece, iż nikt w téj chwili o literaturze nie myśli. Nic się prawie nie wydaje, prócz ludowych książek, i nie wiem doprawdy, czem żyją ci, co wprzód czytać byli przywykli. Dziennikarstwo na szerszą rozwinięte skalę, zastąpiło też wiele. — Wasz Tygodnik był rzeczą dla nas potrzebną i pożądaną, i szkoda wielka, że mu cenzura odmówiła debitu w naszym kraju; nie sądzę wszakże, byście się w nim polityką zajmowali. Ja miałem także zamiar obok Gazety wydawać Przegląd, szczególniéj poświęcony obeznaniu nas z literaturami obcemi; ale w początku dobrą mając nadzieję, dziś ją tracę, bo mi podobno konsensu odmówią. Zostaliśmy więc na jednéj Bibliotece Warszawskiéj, która jest szanowną, jak katakumba, i martwą, jak grób. Co w nią włożyć, odpoczywa na wieki nietknięte. Zbiór ten żyje życiem odrębnem od żywego, umarłych życiem. W organizacyi jego przyczyna. Nie ma Redaktora, ale Redakcya, do któréj i ja należę; każdy niby coś robi, ale te roboty się unieważniają dla braku jednéj dyrekcyi i myśli. Wszyscy my, co tam coś robiemy, podobni jesteśmy do zaspanych robotników, nad którémi nie ma budowniczego. Otóż dla czego chciałem mieć Przegląd; ale mi go nie dadzą pewnie wydawać, abym Biblioteki do reszty nie dobił.

Chciejcie przyjąć wyraz etc., etc.

J. I. Kraszewski.

Pieśni, gramatyki i słowniczki bułgarskie.

W zeszłym roku wyszedł w Zagrzebiu, u Jakicia: „Zbiór bułgarskich pieśni narodowych. — Rzeczona książka drukowana dość piękną kirylicą, dedykowaną została księdzu J. Strosmajerowi, biskupowi bośniańskiemu, śremskiemu i djakowskiemu. Zbioru tego dokonali bracia Miladinowie, a wyż wspomniony biskup znacznie się przyczynił do kosztów wydawnictwa. Język bułgarski ma wiele obcych, głównie greckich i tureckich wyrazów, a przytem brak mu dokładnych form gramatycznych. Kto zna język polski i serbski, ten pojmie z łatwością bułgarski, z wyjątkiem owych wyrazów pomięszanych. Pieśni te malują dokładnie życie wewnętrzne i zewnętrzne ludu słowiańskiego, walczącego nieustannie przeciw okrucieństwu synów księżyca. Mówiąc o bogactwie bułgarskich pieśni narodowych, wydawca przytacza tę okoliczność, iż pewna dziewica w Strużе zakomunikowała mu ich 150, po większéj części bohatyrskich, które na pamięć umiała. W wydaniu niniejszem pieśni bułgarskie podzielone są podług treści na stare, w których występują i przemawiają zwierzęta i strumienie; kościelne; junackie, których jest tu przeszło 200, po większéj części obszerniejszych rozmiarów; owczarskie, czyli pasterskie; ijduckie, czyli rozbójnicze, żałośne, śmieszne, miłośne, weselne; tak zwane łazarskie, tj. o Św. Łazarzu, śpiewane podczas zabaw, głównie dziecinnych. Do tego dołączone są artykuły o obrzędach weselnych, o zwyczajach świątecznych, o przesądach, podaniach, powieściach, przysłowiach, zagadkach i grach ludowych, o narodowych imionach własnych. W końcu znajduje się słowniczek, a we wstępie pogląd na gramatykę języka bułgarskiego. Zbiór ten uważać należy za skarbnicę życia bułgarskiego, z któréj możnaby poczerpnąć podostatkiem treści na ogromną ilość tomów. Począwszy od tchnącéj prostotą sielanki do opisu krwawego, serce rozdzierającego dramatu, znajdziemy tu wszelkie stopniowanie uczuć ludzkich, tudzież obraz dokładny upodobań i myśli narodu. Jakkolwiek narodowa poezya serbska zadziwia bogactwem przedmiotów i szczytnością fantazyi, poezya bułgarska daleko wyżéj jeszcze stoi tak pod względem obszerności utworów, głównie epicznych, jako też i pod względem polotu poetyckiego.

Roku 1852 wyszła w Wiedniu w komisie Franciszka Leona w niemieckim języku gramatyka bułgarskiego języka, łacińskiemi drukowana czcionkami, pod tytułem „Grammatik der Bulgarischen Sprache von A. und D. Kyriak Cankof." Wien in Commission bei Franz Leo. 8vo str. 216. Do niéj są także dodane potoczne rozmowy z niemieckiem obok tłomaczeniem i słowniczek bułgarsko-niemiecki.

Otóż sądzę, iżby naszéj publiczności, bardzo się obecnie interesującéj dla Bułgarów i ich sprawy, ten wielce się przysłużył, którуby się zajął przełożeniem na język polski zwyż wzmiankowanego zbioru pieśni bułgarskich, kładąc oryginał obok tłomaczenia, a do tego dodał przekład przydanych tam rozpraw, jako też gramatyki i słownika, uzupełniwszy je tem, co w Cankofie znajdzie trafniejszego.

Najbliższa z dróg prowadzących przez Środziemne morze z Anglii do Indyj Wschodnich.

Po ukończeniu sieci najgłówniejszych europejskich kolei żelaznych, zaczęto się zastanawiać nad kwestyą już dawniéj przez Waghorna podniesioną, to jest nad wynalezieniem bliższéj drogi z Londynu do Kalkuty, niż dotychczasowa na Marsylią. Austryacki konsul Hahn podał w tym względzie bardzo dobry pomysł. Dowodzi on, iż najkrótsza droga będzie jadąc koleją żelazną z Belgradu do Saloniki, gdyż podróżny stanie 18 godzin prędzéj w Londynie, niż gdyby jechał na Marsylią. — Bardzo łatwo da się to wytłómaczyć, gdyż z Alexandryi do Marsylii jest dwa razy tak daleko, jak z Alexandryi do Saloniki i koléj żelazna daleko szybciéj idzie, niż statek parowy. Oprócz tego linia wytknięta przez Hahna daleko mniéj przy budowie przedstawia trudności, niż którakolwiek inna kolej żelazna. W łańcuchu gór dzielących stokowisko Dunaju od macedońskich i trackich krain, znajduje się wielka wklęsłość tylko na 1450 stóp wyniesiona nad powierzchnią morza. Ztąd aż do Egiejskiego morza jest 120, a do Dunaju 180 geograficznych mil. Od Belgradu aż do Saloniki ani jeden tunel nie byłby potrzebny, i zresztą droga, któràby została poprowadzona koléj żelazna, już obecnie bardzo jest do wszelkiéj komunikacyi używaną. W starożytności służyła ona już do komunikacyi pomiędzy Wschodem i Zachodem, późniéj dopiero zdzierstwo byzantyńskich cesarzy i oszustwo greckich kupców w Saloniki stało się powodem, że cały ruch handlowy, dotychczas w téj stronie się odbywający, zwrócił się ku Wenecyi, Genui i Pizie.

SPROSTOWANIE. Nr. 16 str. 122 w 2giéj kolumnie w 5 i 7 wierszu trzeciego odstępu ma być: Ticyana zam. Ficyana; na stronie zaś 124 w pierwszéj kolumnie 8 wiersz od dołu ma być: zamknięty drzewami zam. zamknięty drzwiami.

Redaktor i nakładca Dr. Kaźmierz Szulc przy ulicy Fryderykowskiéj Nr. 19. — Czcionkami A. Poplińskiego.